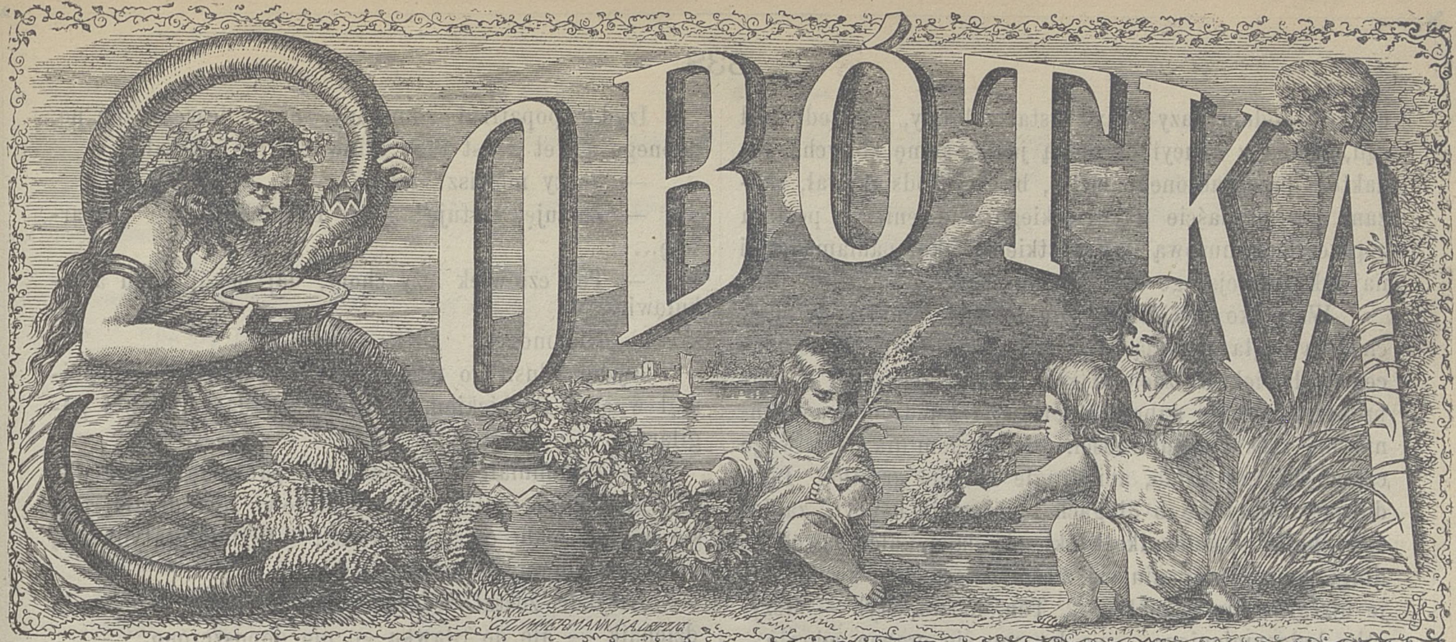


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 42. Poznań, dnia 16 Października 1869. Rok I.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

Samiel, który przekonał się, że o Jadzi ani myśleć może, a hrabina posługuje się nim chętnie wprawdzie, ale westchnień nie chce rozumieć — stał w pierwszym rzędzie adoratorów de la veille.

Czy Lena to wiedziała? czy śmiała się w duszy z téj nikczemności ludzi, przypominając sobie, jak oni innemi wprzódy dla niéj byli... któż zgadnie. Twarz jéj nie zdradzała nic oprócz tęsknoty i znużenia... Swojego bogactwa wyraźnie użyć nie umiała... kupowała bukiety dla Sławka, przynosiła mu książki, obrzucała go, jak dziecko zabawkami...

Stan chorego był wprawdzie bardzo zadowalniający, lekarz nazywał ranę prześliczną, wzorową — ale mimo to Młyński czuł w sobie, że z tą krwią, która zeń wyszła, część jakaś życia uciekła... Siły nie powracały, a w dodatku kaszlał, lekarze mówili o Teplitz, o południu, o klimacie cieplejszym... o Włoszech...

W czasie choroby najwięcéj obchodząca Sławka sprawa dziennika, zdana na ręce poczciwych ludzi, ale nieobeznanych z dziennikarstwem, gorących, nieopatrznych... szła coraz gorzéj. Nie mówiono mu o tém, bo lekarz wzruszeń zakazywał — ale powoli to ten, to ów przebąknął, r szty domyśleć się było łatwo.

Nakoniec objawienie stanu tego nieszczęśliwego dziennika stawało się koniecznością, gdyż długi rosły, wyczerpywały się fundusze, ruina groziła, poczciwi szlachcicowie, początkowo gorliwi założyciele, bronili teraz swych kieszeni z nadzwyczajnym zapałem... Drabickiego ręka, niewidzialna ale wszechmogąca i wszędobylska, dawała się czuć na każdym kroku... W redakcyi nawet miał swojego człowieczka. którego tam za pewnemi wpływami wpakował, a ten mu donosił i niektóre rzeczy doradzał... rozumie się z życzliwości dla dziennika... Poczciwy ów człeczyna, narzędzie bierne, nie czuł i nie wiedział, co robi — naiwnie nosił ogień pod stodołę, w nadziei, że zboże wysuszy...

Skutkiem tych przerozmaitych działań, oddziaływań, krzyżujących się robót, było, że dziennik plątał się, komprom tował, stawał przy najlepszych chęciach coraz gorszym, padał... Ażeby go dźwignąć, ktoś doradził głośniejszą opozycyą przeciwko rządowi — bo to mogło uczynić go popularnym, ale za drugim w tym duchu i z tą fizyognomią artykułem, Drabicki poszedł do przyjaciela swojego pana Radzcy, wskazał mu wystąpienie i spytał, czy téż prokuratorya takie rzeczy znosi.

— Bo, widzi kochany Radzca — to proste pytanie — niewinne! jeżeli wolno takie rzeczy pisać bezkarnie... no! to i ja chwycę się tego sposobu zyskania abonentów! Czemu nie! Radzca, ażeby się nie kompromitować, nigdy nie miał zwyczaju odpowiadać ani tak — ani nie... powiedział, Hm! schował numer do kieszeni, a nazajutrz go — skonfiskowano.

Dziennik, który raz uległ téj chorobie konfiskaty, dostaje łatwo recydywy. Śniadecki utrzymywał, że kto raz miał wrzód w gardle, może się go spodziewać, byle najmniejsza okazyjka. Tak samo z konfiskatą... niezmiernie się z niéj trudno wyleczyć, a kuracya tak ściśléj wymaga dyjety, że chory czasem z konsumcyi umiera.

Otóż i dziennikowi Sławka trafiło się, że w prze-

ciągu tygodnia razy trzy został zabrany, poszedł pod sąd, stracił z kaucyi ogromną jakąś sumę złotych, redaktora przeznaczonego na to, by kozę odsiadywał, skazano na piętnaście lat ciężkiego więzienia, z postem z pracą przymusową i wszystkiemi akompaniamentami najwykwintniejszego kodeksu karnego.

Wszystko to cieszyło Drabickiego... jak cie zy pr echodnia cegła spadająca z dachu na głowę blizko idącego człowieka... zacierał ręce. Obawiał się tyl o, żeby prokuratorya nie nabrała apetytu przy jedzeniu, a d iennik nie zyskał popularności. Szczęściem dla poczciwego człowieka, ani jedno, ani drugie mu nie groziło. Lena dowiedziawszy się o długach i potrzebie kaucyi, zapłaciła oboje — dziennik wlókł się daléj, ale Sławek po długiém niespotkaniu się z tém dziecięciem swém, gdy je ujrzał... nie poznał go... Ton, barwa, styl — wszystko było zmienione... na łzy mu się prawie zebrało... ale sił do przedsięwzięcia reformy nie czuł w sobie...

Chciał dziennik oddać w ręce silniejsze, nikt podjąć się go nie chciał.

Najzdolniejszy z tych panów odpowiedział grubijańsko nieco, że woli uszyć nowe buty, niżeli w starych dziury łatać.

Wlokło się więc tak smutnie, twardo daléj... dokąd? nikt dobrze nie wiedział.

Drabicki jeden przewidywał, że to się już r chło skończy i siedział cicho, nawet się już na konającego nie porywając.

Miał on ten system, że o przeciwniku, jeśli nie był zmuszonym, nie wspominał nigdy, aby mu reklamy nie robić. Ogłoszenia nawet do inseratów za pieniądze nie przyjmował, cytat się wyrzekał, polemiki unikał, obchodził... ignorował i z wielką umiejętnością zabijał milczeniem.

La conspiration du silence, jest zaprawdę sztuką wielką! i zabójczą... Człowiek tak mądry jak Redaktor, nie mógł na sile jéj się nie poznać.

Szło mu szczęśliwie bardzo...

Jednego poranka wszakże, gdy właśnie uznał właściwém przerwać to milczenie głuche gwałtownym artykułem wymierzonym (pod odsłonką) przeciwko osobie Młyńskiego, wszedł do jego gabinetu p. Izydor z korektą w ręku.

— Mój redaktorze, odezwał się — proszę cię, posłuchaj ty mnie choć raz... do czego ci się to zdało dobijać człowieka, który i tak dogorywa?

— He? spytał Drabicki, kładnąc ręce w kieszenie — co?

— Dajże pokój Młyńskiemu! to nie był zły człowiek! Sam wiesz, że i tak go masz na sumieniu!

- Ja? jego na sumieniu? ruszając ramionami, rzekł z flegmą Drabicki — a po co lazł? a po co zaczepiał? gdzie drwa rąbią, tam trzaski padają.

— Toś go już zmógł?

— Widzisz kochanie, panie Izydorze, ty tego nie rozumiesz, nieprzyjaciela jak zwierzynę, nigdy nie trzeba puszczać postrzelonego... zdechnie w kniei i korzyści z tego nie ma... zawsze trzeba dobić! Widzisz kochanie, to jest w naturze rzeczy, zwierzęta, gdy słyszą, że które z nich skomli a boleje — zawsze dobijają. Jest to litościwe prawo natury, ażeby się nie męczyła istota...

Izydor popatrzał zdumiony, nigdy jeszcze nic po dobnego nawet z ust tego człowieka nie słyszał.

— Co ty mówisz? zapytał.

— Żartuję, żartuję! rzekł Drabicki — no — żartuję...

— Ten człowiek leży chory, daj pokój temu artykułowi...

— Nie mogę...

Izydor zdusił go w garści i rzucił na podłogę, spojrzał w oczy Drabickiemu groźno... Redaktor dobył pugilaresu.

— Zapomniałem wiecznie, że panu się należy extra kilkanaście guldenów... Izydorowi ręka drżała, czuł się podłym, ale ostrygi i wino!! Wziął gratyfikacyą milczący, dumny i wyszedł.

Artykuł został wydrukowany — dobił on może dziennik — ale do Sławka go nie dopuszczono.

Gdzie tak wielki artysta jak p. Drabicki do dzieła rękę przykłada, można się zawsze spodziewać, że żadna część jego zaniedbaną nie zostanie. Tak się i tu stało, nie zostawiono poczciwéj nitki na nieszczęśliwym podkomorzycu, puszczono między tłum (a tłum lubi plamy na tych, co się wyróżniają wykształceniem i majątkiem) najdziksze, najsprzeczniejsze z sobą... wieści o życiu i obyczajach Sławka, którego malowano i wystawiono sobie powszechnie, jako rozpustnego marnotrawnika. Przywiązanie panny Leny przypisywano jego zwodzicielstwu... pleciono niestworzone rzeczy... rzucając potwarze na hrabinę, na Jadzię... na osoby nawet, których nie znał Sławek.

Oprócz tego Drabicki i jego przyjaciele utrzymywali, że podkomorzyc, będąc od dawna zadłużony i nadrujnowany, użył funduszów publicznych, powierzonych mu na dziennik — dla swego prywatnego użytku, że zawiódł zaufanie współobywateli i t. p.

Tego rodzaju niepoczciwe czernidła mają to do siebie nieszczęściem, że, jak to dawno uznano — do najniewinniejszych nawet przylegają. Jeśli nie wszystko, to choć część potwarzy pozostaje... — Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose.

Tak się stało... Sławek był bez dowodu osądzony, i zabity na sławie. Nie wiedział wprawdzie o tém, ale mógł niemal wyczytać ze smutnych twarzy przyjaciół, a Kanonik i kilka osób bliższych gryźli się tém niezmiernie. Cóż było począć?

Gdy Młyński począł powoli przychodzić do zdrowia, pierwszy stary przyjaciel poszedł doń przemówić w imię zdrowia i potrzeby spoczynku, chcąc wymódz na nim zrzeczenie się Dziennika...

Sławek, który istotnych powodów nie znał, a boleśnie był dotknięty tém, że nieudolność swą okazał i chciał dowieść, iż lepiéj potrafi... który żył tylko nadzieją, że ozdrowiawszy, dźwignie ten organ ludzi niezawisłych, dobréj wiary... rzucił się na pierwszą o tém wzmiankę...

— Mój dobry ks. Kanoniku, to nie może być...

— A ja ci powiadam, że tak być musi .. bo i dziennikowi rady nie dasz i siebie zabijesz!! Masz do czynienia z ludźmi, dla których żadna granica moralna nie egzystuje, którzy w obronie swego dobra gotowi

się dopuścić największéj szkarady... zginiesz i zginiesz bezpożytecznie.

— Nie zginę, bo wierzę w to, że prawda zwyciężyć musi...

— Tak, mój drogi! ale zwycięży kiedyś, a ty będziesz tylko gruzem, który kałużę fałszu trochę przysypie... wóz jéj przejedzie po tobie.

— Niech się co chce stanie...

— My wszyscy przyjaciele twoi prosić cię będziemy i wymodlimy, że tę robotę niewdzięczną rzucisz...

— Ale zkądże rozpacz taka? zapytał Sławek...

— Nie wchodź bliżéj w powody, nie gryź się, rzekł stary — naprzód ci zdrowie potrzeba odzyskać. Powiem ci tylko jedno, że przez czas twéj słabości i korzystając ze składu różnych drobnych, nieszczęśliwych wypadków, potwarzą... szkalowaniem... odebrano ci siłę do działania... Sławek spuścił głowę...

Po wyjściu Kanonika, rozkazał do siebie przywołać pomocnika z redakcyi, przynieść papiery, dzienniki, korespondencyą, rachunki.

To zetknięcie się z rzeczywistością było dlań ciosem okrutnym — nie miał nawet wyobrażenia tego, co się w czasie słabości jego działo i jaki zastanie stan rzeczy... Wrażenie było straszliwe, pod wieczór Młyński położył się milczący — z gorączką... ale nie dał znać po sobie, czego doznał...

Nazajutrz obudzeni wieścią o uzdrowieniu przedwczesną, czy poduszczeni przez szanownego Drabickiego wierzyciele zbiegli się z rachunkami. Znaczniejszą ich część popłaciła była tajemnie Lena, ale niektórych likwidacya była niemożliwa... Z rachunków jednych wykryło się łatwo że przyjaciółka inne zaspokoiła... Sławek dotknięty był tém boleśnie.

Z ogólnego spisu długów widział, że jeżeli mu współuczestnicy w pomoc nie przyjdą, będzie w wielkim kłopocie pieniężnym, a niechciał być winien poczciwéj Lenie i wstydził się téj ofiary z jéj strony...

Tymczasem ci, co brali udział w założeniu dziennika, nawet tacy, którzy pewne oznaczone sumy przyrzekli, wszyscy się cofnęli pod rozmaitemi pozorami, nikt nic dać nie myślał... Sławek bez namysłu napisał do plenipotenta, aby jednę z wiosek jego za co bądź sprzedał.

Na te rozrzucone papiery, wśród których Sławek podparty na bladych rękach zadumany siedział — trafiła Lena, przychodząca zwykle raz na dzień dowiedzieć się o jego zdrowie.

Podkomorzyc ścisnął ją za rękę czule.

— Moja ty dobra siostro, rzekł do niéj, gdym ci ofiarował braterstwo, sądziłem, że z niém dam ci opiekę i pomoc, a nie że ty swojém sierocém mieniem będziesz ratowała rozrzutnego i niebacznego brata! Nie umiem ci wyrazić wdzięczności, ale żebyś wiedziała, jak mnie to boli, żem ci dłużny.

— Mój kochany bracie — odparła panna Prater, obowiązki siostry i brata są równe... co ty chciałeś uczynić, ja w części spełniłam — i jestże o czém mówić?

— Ale, przerwał Sławek — bądź spokojna — ja wioskę sprzedać kazałem i dług ci natychmiast oddam.

— Obrazisz mnie tém — odparła Lena po cichu.

— Czém? zapytał Sławek...

— Bo postąpisz jak obcy, nie jak brat...

— O! nie, obcy by ci nie oddał, brat powinien... Dzisiaj dotknąłem się rzeczywistości, smutnéj nader rzeczywistości, jestem upokorzony, ale nie złamany jeszcze, może się wszystko da naprawić, jeśli ja sam według pierwotnéj myśli tém pokieruję. . zobaczysz...

Smuci mnie tylko jedno, to że oprócz siostry nikt już we mnie wiary nie miał, a ci, co mi dali mój mandat, cofnęli i zaufanie i współudział... kraj potrzebuje surowéj nauki... powiem mu słowo prawdy! muszę.

Lena chciała go odwieść od téj polemiki nieszczęsnéj — ale Sławek z zaciśniętemi ustami nie odpowiadał nawet, milczał z jakimś uporem zawziętym. Twarz jego wybladła, zniszczona, na chwilę znowu połyskiwała, jakby gorączkowém jakiémś życiem... uśmiechał się dziwnie...

— Tak mi przykro, że sam pisać nie mogę, a tak potrzebuję wylać z duszy, co się w niéj przyzbierało...

Nic nie mówiąc Lena, siadła przy stoliku, wzięła pióro i spojrzała nań, gotowa do pisania, Sławek się zawahał zrazu, ale wprędce natchnienie zwyciężyło... począł powoli... dyktować ten nowy manifest, protestacyą, wykrzyk duszy zawiedzionéj bolesny, gwałtowny i nieoszczędzający nikogo... Najmniéj téż łagodnie obszedł się z tymi, którzy obrawszy go za przewodnika do podróży, na pierwszym kroku opuścili samego.

Gorzkie były wyrazy, które do kraju stósował — ciężkie wyrzuty mu czynił. Ból ten, manifest dziwną wymową, lub raczéj poezyą napiętnował, artykuł był arcydziełem formy, uczucia, stylu, ale przewidzieć było łatwo, jaką miał burzę wywołać...

Lenie zdawał się tak pięknym ten krzyk zranionéj, prawéj i czystéj duszy, iż zapomniała o następstwach, zdawało się jéj, że skrucha musi po nim nastąpić... że ludzie się zawstydzą i poprawią — nie znała ludzi...

Sławek wyczerpał wiele sił na to wystąpienie, na które rachował, a po wyjściu Leny, przywołał zastępującego redaktora, polecając mu, aby artykuł na czele dziennika nazajutrz był wydrukowany — chciał go sam poprawić jeszcze.. nie dał się sprzeciwić sobie w niczém, ani ubłagać, by mu odjął gryzące, ostre... piekące wyrażenia, podyktowane boleścią.

Z przyjaciół Sławka, którzyby mogli mieć jakiś wpływ na niego, nikt nawet o artykule nie wiedział...

Nazajutrz zdziwienie było ogromne, oburzenie straszliwe, wrażenie nadzwyczajne, na chwilę dziennik już opuszczony, stał się popularnym, rozchwytywano go, wyrywano sobie, oczom własnym nie wierząc.

Nigdy nikt jeszcze tych prawd źrących, nagich, bezlitościwych, krajowi powiedzieć nie śmiał...

Izydor, który pierwszy w redakcyi pochwycił artykuł wstępny, uniesiony nim był nadzwyczajnie, pobiegł do Redaktora... Drabicki właśnie się golił i z namydloną brodą, z brzytwą w ręku począł go czytać... niezmierna radość odmalowała się na jego obliczu, uśmiechnął się, odsunął papier i zarzynając po troszę, co najprędzéj dokończył golenia.

— Masz słuszność, artykuł pyszny! rzekł, ale się nim pan podkomorzyc dopiłował...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

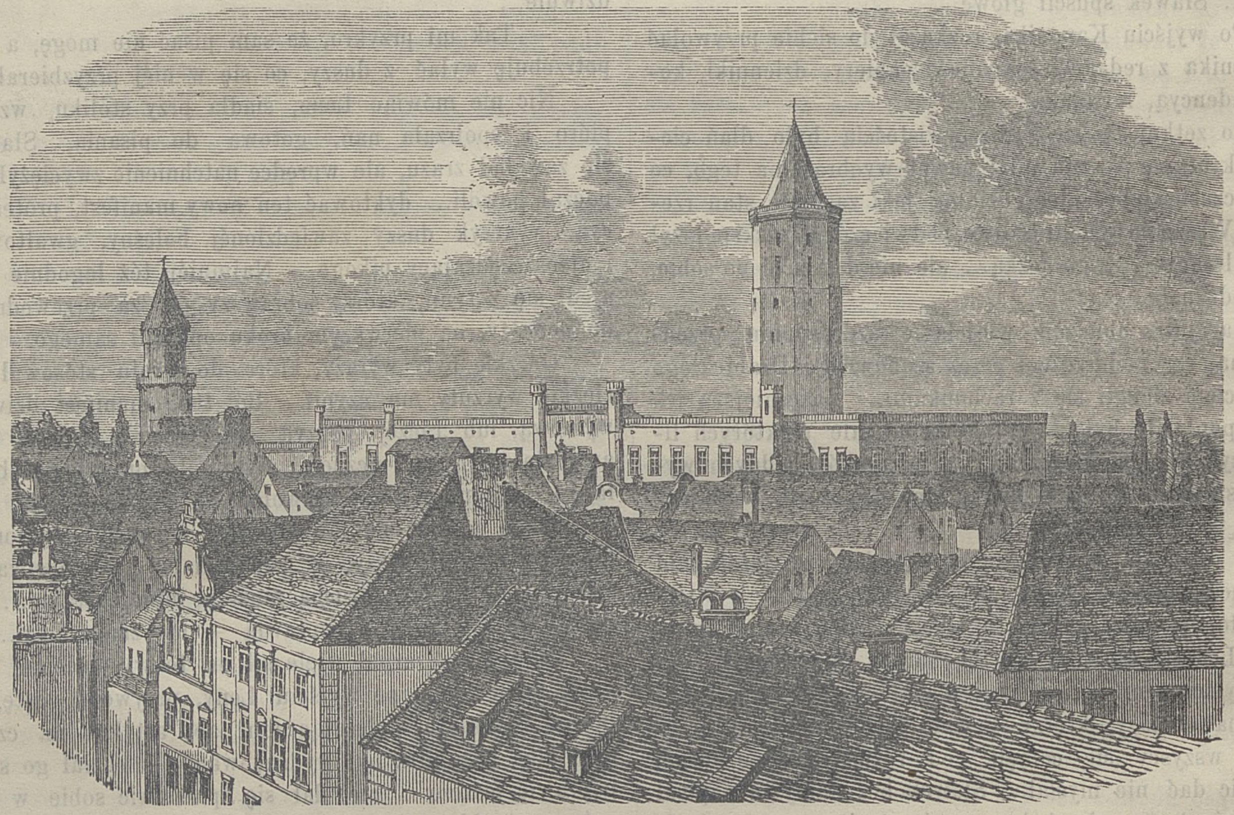
Zamek Piastowski w Lignicy.

(Z ryciną.)

Najdłużéj utrzymał się ród Piastów, który przez kilka wieków zasiadał na tronie polskim, w pobocznéj linii na Szląsku, gdzie się znacznie rozrodził i zajmował udzielne księstwa na Głogowie, Opolu, Wrocławiu, Lignicy i Brzegu. Piastowie szląscy, pozbawieni prawa do korony polskiéj, swatali się prawie jedynie z księżniczkami niemieckiemi i dość rychło wynarodowili się, porzucając obyczaje swoje a przyjmując obce. Wzgardzili własną ojczystą mową, przybrali strój obcy i na Szląsk, niegdyś czysto polski, ściągali niemieckich osadników, którzy zwolna rugowali ludność polską. Oni to głównie przyczynili się do tego, że Szląsk tak rychło został zniemczony.

Polacy czuli bardzo dobrze utratę Szląska i kiedy Władysław Jagiełło starał się o rękę Jadwigi i koronę Polski, stawili mu senatorowie między innemi i ten warunek, że się będzie starał wszelkiemi siłami Szląsk napowrót do Polski przywrócić. W owym to czasie bowiem stósunki między Polską a Szląskiem były jeszcze bardzo liczne i ożywione. Królowie polscy wywierali wpływ na książąt, a arcybiskup gnieźnieński miał zwierzchnią władzę nad biskupstwem wrocławskiém, zjeżdżał na Szląsk i często wykonywał juryzdykcyą nad duchowieństwem szląskiém.

Ostatni z rodu Piastów, książę Jerzy Wilhelm, zmarł w r. 1675 na zamku lignickim, który nam przedstawia załączona rycina, oczywiście w kształcie dzisiejszym, który mało przypomina gmach dawniejszy. Nad dawniejszym zamkiem wznosiła się nie jedna, ale dwie wieże, jedna nosząca nazwisko Piotra, druga Jadwigi, a to z powodu tego, że w niéj według miejscowego podania przebywała ta błogosławiona księżna.



Zamek lignicki.

Kiedy dzicz mongolska najechała wschodnią Europę i zniszczywszy Ukrainę, Podole, Sandomierskie, wyległa aż na równiny szląskie, ruszył z zamku lignickiego z nie liczném ale bitném rycerstwém książę Henryk II przeciwko niéj w pole. Kiedy przejeżdżał około kościoła Panny Maryi, spadł nagle z dachu ogromny kamień i byłby nie ledwie księcia zabił. Uważano to za bardzo złą wróżbę, która się téż spełniła, książę Henryk bowiem poległ na polu bitwy. Tatarzy odcięli mu głowę, zatknęli ją na dzidę i obnosząc w tryumfie około zamku lignickiego, rzucali postrach na oblężonych, którzy jednak w mężnéj obronie wytrwali. Pohańcy nie mogąc zamku dobyć, spalili Lignicę i cofnęli się ku węgierskiéj krainie. Książę Henryk II był synem błogosławionéj Jadwigi.

Zamek dzisiejszy w tym kształcie, jak go widzimy na rycinie, znacznie został zmieniony od pierwotnego przy licznych przebudowaniach. W dzisiejszym kształcie istnieje od roku 1835, w którym to roku w znacznéj części zgorzał. W obszernych lokalach gmachu tego znajduje się dzisiaj gabinet modeli przemysłowych i inne zbiory szkoły przemysłowéj. K.

Hejże Chłopcy!

Śpiew poświęcony wesołym kółkom niedzielnéj zabawy.

(Na nutę: „Pijmy zdrowie Mickiewicza.“)

Hejże chłopcy i dziewczęta,
Dzień dzisiejszy niech spamięta
Nasze gwary, pląsy w pary
I nasz grzmiący śpiew!

Tydzień cały znoi praca,
Jedna mija, druga wraca;
Więc w niedzielę możesz śmiele
Pobawić się wraz.

W gaj zielony, gdzie murawa,
Niech do koła każdy stawa,
Tam wygodnie i swobodnie
Odetchnie nam pierś.

Ręka z ręką, swego z swoim,
Jak się w życiu razem znoim,
Niech w uciesze całą rzeszę
Łańcuch wiąże serc.

I starszyzna i młódź nasza,
Czy z pałacu, czy z poddasza,
I wiek z wiekiem, jak krew z mlekiem
Niechaj łączy się.

Jak krew z mlekiem i kwiat z kwiatem,
Siostra z siostrą i brat z bratem;
Chcecie — mieniać się możecie,
Wzniesiem dla was cześć.

Cześć dla trudów i radości,
Dla przyjaźni i miłości
W setne głosy pod niebiosy
Zawołajmy — cześć!

Miłosław Damurt.

O Teatrze narodowym.

I.

W ostatnich czasach ktoś z myślących, ktoś z tych, co język własny kochają, w przekonaniu których dzieje nie wyrzekły jeszcze ostatniego słowa nad bytem i przyszłością Polski, zadał sobie pytanie: „Dla czego w Poznaniu, w stolicy ziemi będącéj gniazdem orląt Lechowych i kolebką Piastów, nie ma stałego teatru polskiego?“ A w ślad za pytaniem tém, na które odpowiedź mogłaby być i długą i nauczającą, poszło inne: „Czy odtąd osierocony Poznań nie mógłby, niepowinienby się na stały teatr zdobyć?“ I rzucono projekt, a raczéj myśl stałéj sceny narodowéj Myśl ta jednak przyjęta w pierwszéj chwili z poklaskiem i zapałem, jak wszystkie u nas myśli szlachetne, wkrótce, jak się zdaje, jeżeli nie zapomnioną, to przynajmniéj odłożoną na czas jakiś została.

Może więc nie odrzeczy będzie zastanowić się nad znaczeniem sceny w życiu społecznėm, nad doniosłością jéj wpływu pod względem cywilizacyjnego, moralnego i narodowego rozwoju, może nie bez interesu będzie spojrzeć na dzieje i przejścia teatru polskiego. W uwagach tych, jakkolwiek krótkich i niewyczerpujących, znajdzie się przecież niejedna nauka, znajdzie i przykład, że trudności nie są tak znowu wielkie, żeby przy dobréj woli złamać ich nie było można.

W każdym razie ważna ta dla Poznania i Wielkopolski sprawa nieco wyjaśnioną zostanie i może o krok choć mały posunie się naprzód.

Co to jest teatr? Jestże to, jak sądzą nieliczni na szczęście fanatycy, zdrożny i grzeszny spektakl? Jestże to, jak myślą liczniejsi powierzchownie sądzący ludzie, jedynie dość przyjemny sposób zabicia czasu? Może być jedném i drugiém, ale tylko teatr źle prowadzony, bo niema na świecie instytucyi ludzkiéj a nawet boskiéj, któraby przez ludzi w zastosowaniu nie mogła być popsutą, skrzywioną i zamiast dobrych, złe wydawać owoce.

Ale teatr, ale sztuka dramatyczna w ogólném znaczeniu tego wyrazu jest, jak malarstwo, jak muzyka, jak każda inna sztuka, jedną z form, którą duch ludzki stworzył, by w nich ucieleśnić najwznioślejsze swe porywy, najszlachetniejsze uniesienia w krainy ideału, Kto więc chce teatr potępić, musi dla konsekwencyi potępić wszystkie inne sztuki, kto chce teatr zepchnąć do rzędu czczéj zabawy, musi dowieść, że Rafael, Michał Anioł, Mickiewicz, Mozart byli tylko trefnisiami ludzkości.

Co więcéj, teatr jest jedną z najpełniejszych, najprzystępniejszych dla wielkiego ogółu form, pod jakiemi ideał zwykł się ludziom objawiać. Łączy on bowiem w sobie prawie wszystkie sztuki, prawie wszystkiemi się posługuje, przemawia razem do duszy i zmysłów, do uczucia, rozumu i wyobraźni.

Natchnienie poety stwarza pomysł dramatu, znajomość serca i duszy człowieczéj wlewają prawdę i życie w osoby do intrygi wprowadzone, filozoficzna mądrość tchnie w dzieło artysty wielką myśl społeczną lub dziejową, stawia olbrzymie pytanie, lub podnosi nas na niebotyczne szczyty ducha. Ale na tém nie koniec. Utwór poety, filozofa i psychologa (bo prawdziwy dramaturg tém wszystkiém być musi) zyskuje ciało dopiero na deskach sceny. Każda z marzonych postaci rusza się, mówi, chodzi.

Tu już w pomoc dramaturgowi przychodzi cały szereg sztuk innych. Malarstwo daje dekoracyą i charakterystykę, rzeźba uczy artystów stać, siedzieć, tańczyć się i upadać, muzyka mówić i deklamować.

Najwyższa duchowość i najdobitniejsza plastyka podają sobie dłonie na scenie i te wszystkie wrażenia, które po za teatrem zbierać trzeba po jednemu, w teatrze jednocześnie i od razu uderzają w zmysły i duszę widza.

I temu też przypisać trzeba, że teatr potrzebujący do usług wszystkich dziewięciu sióstr Apollina, tak w pogańskim jak chrześcijańskim świecie rozwijał się najpóźniéj, był wyrobem wysoko już rozwiniętéj cywilizacyi, tworem ducha narodu, który już w męską wszedł epokę życia.

Takie w dziedzinie sztuki jest znaczenie teatru. Zobaczmy jaka jego rola w cywilizacyjnym rozwoju danego społeczeństwa.

Teatr jest najprzód szkołą. W dramacie historycznym staje przed nami pewien epizod dziejów, ta lub owa figura historyczna rysuje się dobitnie, ta lub owa epoka wraz duchem i charakterem swoim zmartwychwstaje w formach prawie dotykalnych. W dramacie rodzajowym wielkie namiętności w grę wchodzą, walczą ze sobą, a owa sprawiedliwość dramatyczna, która w każdym dobrym utworze ostatecznie zwycięstwo bierze, podnosi i umoralnia słuchaczów. W komedyi nareszcie, wady i śmieszności, schwytane na gorącym uczynku, karzące same siebie, dają naukę i przestrogę.

Ale ta nauka bezpośrednio ze sztuki płynąca, ten sens moralny intrygi stanowiącéj treść dramatu czy komedyi, to jeszcze najmniejsza zasługa teatru. Doniosłość jego, jego cywilizacyjne znaczenie leży w czém inném.

Któż z nas, wychodząc z przedstawienia dobrego prawdziwie dramatu, nie czuł jakiegoś innego, niezwykłego nastroju ducha? Kto w obec scen dobrze odegranych, a skreślonych przez Szekspira, Słowackiego, Szyllera, lub choćby Victora Hugo nie czuł gorącéj, nie nie myślał wzniośléj? A w tym właśnie niezaprzeczonym fakcie leży najwyższa zasługa sztuki w ogóle a teatru w szczególności. Wyprowadzać nas z życia pospolitych wyobrażeń, wydobywać z błota codziennych kłopotów materyalnych, brać ducha naszego za rękę i prowadzić go na niebotyczne szczyty ideału i orzeźwiać go świeżém, czystém, powietrzem i ukazywać mu z tych szczytów niezmierzone obrazy piękności, pierś zajętą życzeniami niskiemi przepełniać pragnieniem czegoś szlachetniejszego, wznioślejszego, — oto zadanie sztuki, oto zadanie teatru, oto cel życia wielkich

geniuszów, których Bóg od czasu do czasu ludzkości zsyła.

Życie ludzkie jest ciężkie, kłopotliwe, przepełnione zachodami o chleb powszedni, o byt materyalny. Zamknięty w tym kole człowiek traci powoli zdolność wznioślejszych popędów, traci pojęcie takich wyrazów, jak poświęcenie, ofiara dla idei, miłość ojczyzny, zaciera nareszcie w sobie poczucie i potrzebę piękna. Od takiego upadku bronić człowieka i naród jest powołaniem sztuki w ogóle a teatru w szczególności.

Prócz tego jest tysiące kwestyi żywotnych, nierozwiązanych dotąd, tysiące przesądów uchodzących za prawdę, tysiące występków i zbrodni, których kodeks dosięgnąć nie może. Te kwestye poruszać i próbować ich rozstrzygnięcia, te przesądy przedstawiać w prawdziwém ich świetle i maskę z nich zdzierać, te zbrodnie i występki, wymykające się z pod artykułów kodeksu, stawiać pod pręgierz opinii publicznéj, oto inna strona tego olbrzymiego zadania, jakie ma teatr do spełnienia.

Tragedya i dramat historyczny uszlachetnia i podnosi, dramat współczesny i komedya chłoszcze i niedościgłe zbrodnie wywleka przed forum zbiorowego uczucia sprawiedliwości. A zaprawdę niełatwo wymyślić potęgę równą teatrowi. Wskazaliśmy już wyżéj, że na pomoc twórcy dramatu i artyście wykonawcy zbiegają się wszystkie prawie sztuki, ale nie należy prócz tego zapominać, że gdy każdy inny artysta przemawia do indywiduów, dramaturg przez usta aktorów mówi do masy, a to różnica wielka. Tam gdzie człowiek pojedyńczy pozostanie chłodnym, masa da się porwać zapałowi, czego indywiduum nie zrozumie, to tłum indywiduów poczuje, domyśli się.

I pomyślawszy, że co wieczór przy powodzi światła pod wpływem tego elektrycznego prądu, jaki każde zgromadzenie przebiega, przy pomocy wszystkich darów malarstwa i rzeźby i muzyki i poezyi i talentu artystów, myśl jaka puka do serca i umysłu widzów, a przyznamy, że teatr jest jedną z najpotężniejszych dźwigni cywilizacyjnych, że dobrze kierowany może niesłychanie zbawienny wpływ wywieraé.

A w czasach, w których żyjemy, potęga ta jeszcze zdwojoną została. Kto dziś ma ochotę, ma czas czytać książkę? Komu się chce w cichym pokoiku szukać na zadrukowanych kartkach wrażeń lub nauki. Ale teatr go pociągnie. Tu w wygodnym fotelu, w ciągu paru godzin, bez trudu i wysilenia, cały wątek kilkotomowéj książki rozwinie się przed nim, a z tym wątkiém i myśl i wrażenie się do umysłu przeciśnie i ślad pozostawi.

A cóż powiedzieć o owych widzach parteru, galeryi, jaskułki, o téj publiczności może bez gustu i smaku ale o szlachetnym instynkcie. które słucha z wiarą naiwną, pełna zapału i uniesienia, która z chciwością każde połyka słowo, każde bierze na seryo i głęboko w pamięci zachowywa. Jakąż inną drogą, jeżeli nie zapomocą teatru dzieła sztuki wraz z wszystkiemi skarbami swemi dostałyby się do téj masy?

Teatr więc, naturalnie teatr w dobrém tego słowa znaczeniu, kierowany rozumnie i uczciwie. jest jedną z dobroczynnych potęg cywilizacyjnych i powinien mieć sympatyą i poparcie każdego myślącego człowieka.

A znaczenie jego w nieszczęśliwéj ojczyznie naszéj większe jeszcze, jak wszędzie indziéj. Narodowy, naturalny nasz rozwój zatamowany, środki podniesiena się materyalnego i moralnego ścieśnione. Pilnowani, ograniczani, podejrzywani, nie mogliśmy wielu wad wykorzenić, nie byliśmy w stanie pozbyć się wielu zastarzałych pojęć, nie mieliśmy sposobności nawet poznać samych siebie.

Książki, dzienniki, zrobiły dużo, ale książki i dzienniki nie mogą do szerszych mas przenikać ani zastąpić żywego słowa. Dodajmy do tego ów skarb nasz drogi, który zachować winniśmy, ów język Kochanowskich i Mickiewiczów. Szczerby w nim niestety wielkie zwłaszcza w Galicyi i Wielkopolsce i coraz więcéj obcéj miedzi do rodz mego przybywa złota. Jeżeli co językowi temu wrócić czystość jeżeli co go utrzymywać może, to teatr polski, teatr stały i dobry w Poznaniu, któryby wycieczkami w czasie lata po prowincyi dawał wzory czystéj mowy polskiéj tym, który najgorętszą miłość ojczyzny popsutym językiem tylko wypowiedzieć umieją.

Ten jeden wzgląd jużby zachęcić powinien do pewnych ofiar i wysileń, które zieszta jak mamy nadzieję wykazać, tak wielkiemi znów nie b dą.

Nim jednak do tego wywodu przystąpimy, chcielibyśmy poznajomić naszych czytelników choć w pobieżnym rysie z dziejami sceny polskiéj, dziejami tak mało znanemi, a na utworzenie których składało się jednak wiele prawdziwych poświęceń i nie mało talentów pierwszego rzędu.

Rys nasz rozpoczniemy od ostatnich lat ubiegłego stulecia, bo wtedy dopiero teatr polski zaczął istnieć naprawdę. Wprawdzie i dawniéj były u nas próby dramatyczne a nawet komiczne. Już Długosz wspomina o dialogach przedstawiających śmierć Ludgardy, żony Przemysława I. Potém w XVI i XVII wieku spotykamy c ły szereg dialogów nie tylko religijnych, odgrywanych przez żaków i ciągnących się czasem przez dni kilka, ale nawet świeckich i komicznych, jak np. o Albertusie.

Jan Kochanowski napisał tragedyę: „Odprawę posłów greckich“ graną na ślubie Jana Zamojskiego, a w XVII i na początku XVIII wieku pojawiło się nawet parę utworów mających zakrój komedyi. Właściwéj jednak literatury dramatycznéj, prawdziwego teatru nie mieliśmy aż do czasów Konarskiego a właściwie Bogusławskiego. Młodsi od innych narodów, później też od nich zdobyliśmy się na ten wyrób męskiego wieku na dramat. I gdy w Hiszpanii Lopez de Vega tworzył dwa tysiące sztuk scenicznych, liczących dwa miliony wierszy, a Kalderon rycersko-chrześcijańskie dramata swoje, gdy w Anglii świecił geniusz Szekspira, a w Francyi zachwycali Rassyn, Kornel i Mollier, my zajęci żywym dramatem politycznego życia i bojów naprawdę rycerskich poprzestawaliśmy na dialogach jeszcze. Mimo to jednak upodobanie w takich nawet przedstawieniach było tak wielkie, że wydany zakaz podobnych przedstawień władza duchowna musiała cofnąć w obec groźnéj postawy ludu krakowskiego.

Jakkolwiek jednak zamiłowania do widowisk nie brakło, przecież teatr w prawdziwém tego słowa znaczeniu powstaje dopiero w ostatnich latach przeszłego stulecia; od téj też chwili rys nasz rozpoczniemy.

Przygody asesora Z...

(Prawdziwe zdarzenie. — Ciąg dalszy.)

Okazuje się ze wszystkiego, że Niaura był to zamożny gospodarz. Za młodych lat wysługiwał dworsko, bo doskonale mówił po polsku, i dotąd spełniał u starego dzierżawcy funkcyą karbowego. Zagroda Niaury odznaczała się czystością, sam mieszkał obyczajem Żmudzinów w tak zwanéj kurnéj chacie, ale izba, w któréj zagościł asesor była opatrzoną kaflowym piecem i nie odróżniała się w niczém od zwykłych izb

folwarcznych na Żmudzi. Z tego okazuje się także, że Niaura jako włościanin wychodził po za obręb trybu życia zwyczajnego wieśniaka, a co najważniejsza, że był usamowolnionym od dawna. Jeżeli więc kogo w całéj wiosce można było podejrzywać o tajemne związki z osobami przeciwnemi rządowi, o przechowywanie broni i tym podobne występki, to pewnie Niaurę i asesor nie mylił się wcale, przedstawiając go rządowi jako politycznego przestępcę. Ale ów brzęk czarowny, który w chwili opowiadania, nawet dotąd brzmiał jeszcze w uszach asesora, nakazywał mu oszczędzać Niaurę. Dla tego też nie podał wyraźnego oskarzenia, przedstawił go podejrzanym o udział w przechowywaniu broni, a ponieważ wyjednał sobie prawo dalszego prowadzenia śledztwa, mógł w każdéj chwili wycofać lub potępić z zarzutu.

Skoro już nadeszła stósowna chwila i asesor zauważał, że nikt im nie przeszkodzi w rozmowie, przywołał do siebie Niaurę.

No batku! tieper pogadamy — tak zaczął pan asesor, stając przy drzwiach z pistoletem w ręku — twoja baba pod kluczem, — lecz jeżeli będziesz miał rozum, wszystko dobrze się zakończy i ty i ja będziemy żyli spokojnie.

Niaura ani się zmieszał, ani się cofnął, skrobał tylko po głowie i stał milczący.

No gadajże do stu djabłów! wrzasnął stłumionym głosem asesor, bo przecież zmiarkowałeś, że sztuki na nic się nie przydadzą. — Jasno, dobitnie jak tylko mógł najwymowniéj wytłómaczył milczącemu Niaurze, że go poznał, że go może aresztować jako zbójcę, który chciał go zabić, a wreszcie zasłać na Sybir jako mającego udział czynny w przechowywaniu broni.

W téj chwili dopiero Niaura głupowato wytrzeszczył oczy. — O jakiéj broni pan asesór mówi? zapytał zdziwiony.

Asesorowi aż oczy poświetniały, bo Niaura już tém samém przyznawał się do pierwszego zarzutu.

To tak tylko na wypadek, pochwycił prędko asesor, aby cię mieć w łapie, jeżelibyś chciał się wypierać, wplątałem cię w sprawę poszukiwanéj broni, — ale się nie bój, ja za tobą, cóż ty możesz wiedzieć, co się działo we dworze.

Niaura nisko się pokłonił i znowu wrócił do dawnéj pozycyi.

No batku masz pieniężki — to był pewno skarb tega starego kutwy, co zdechł? prawda? co?

Niaura milczał.

Asesor już teraz nacierał gromko, energicznie, to jak władzca życia i śmierci, to jak przyjaciel, który podaje protekcyjną rękę biednemu wieśniakowi, aby go wprowadzić w wyższą społeczną sferę.

Było tam wszystko, jak na talerzu, i dyploma szlacheckie i dobra na wspólne imię, za psie pieniądze do nabycia, i syn na cesarskim dworze w korpusie paziów a potém na urzędzie w generalskim czynie — dość, że asesor aż potniał, aż rósł jak na drożdżach, a szelma chłop, używając wyrażenia pana asesora, milczał i milczał. Już i krasomówstwa brakło asesorowi, zrobił więc stanowczy odwrót, uchwycił za czapkę i udał, że chce wyjść.

A gdzie? zapytał przeciągle Niaura.

Napędzić ci rozumu do głowy, nie chcesz się ze mną podzielić, jak przyjaciel — podzielisz się z rządem, albo wyzioniesz ducha pod batami.

Niaura tupnął nogą, że aż izba zadrżała, a potém się uśmiechnął, a potém .. Oh! jakież pióro zdoła określić, co się działo w sercu asesora, kiedy Niaura z palcem na ustach otwierał drzwi wiodące do komory, kiedy skinął ręką, aby szedł za nim, a potém kiedy odsłonił spiżarkę, odwalił wór z mąką i zatopił rękę w dzieżę pełną starych talarów i krzyżowych rubli. Asesorowi wypadł pistolet z ręki, zdrętwiał, zamarł na chwilę. — Tymczasem Niaura nabrał w połę pieniędzy, jakby nabierał kartofli — cichutko, bez brzęku owego czarodziejskiego brzęku! — zawalił wór napowrót, pokrył spiżarkę i jak kuna wysunął się z komory. Asesor opowiadał, że mu włosy wówczas dębem stały, mróz i ogień przebiegał po kościach i wtedy dopiero się upamiętał, kiedy padł jak nieżywy na łóżko a Niaura drzwi komory na kłódkę zamknął. Talary i krzyżowce walały się na łóżku, na piersiach, na brzuchu asesora — Niaura zacierał ręce i miarowym krokiem włóczył się po izbie.

Wódki! krzyknął asesor, przychodząc do siebie.

Ani kropli, albo cię zadławię — była odpowiedź Niaury i.. odtąd wielmożny pan asesor stał się powolnym narzędziem żmudzkiego chłopa.

Czy to wszystko? zapytał po chwili drżącym głosem.

Głupiś!!!

Za ten komplement asesor rzucił się na szyję Niaurze. Poprowadzę cię do lasu mówił Niaura— pokażę, ale sza, bo ubiję gdzie w kącie jak szczura — i przed moją babą także sza... bo ona nie cierpi Moskali, jeden tylko mój chłopak będzie wiedział o naszéj spółce, bo to jego pieniądze. W garnku moje, w ziemi jego, bez niego nic.

— Da, bez niego nic, powtórzył asesor. A gdzież on?

— Daleko.

— Jakto — w Rydze?

— Nie.

— Gdzież więc? — tu gdzie w okolicy?

— Nie, w Wilnie.

— W Wilnie? ty był w Wilnie?

— Pochowaj pieniądze, uspokój się, bo może żona nadejść.

— Oho, nie nadejdzie, gdyby tak było co popić, to bym ci wiele rzeczy opowiedział i ty mnie na wzajem. Przecież my teraz przyjaciele.

Niaura otworzył jednę ze skrzyń świeżo przywiezionych, wydobył butelkę z winem i postawił na stole, potém poszedł po szklanki.

Asesor łaził za nim, jak cień, rzucił okiem do skrzyni, gdzie pełno było nowo nakupionych rupieci, chustek, obrazów, szklannych pereł, korali.

Asesor uśmiechał się złośliwie i pogardliwie przymknął skrzynię.

— Ale podzielimy się rzetelnie, wyrzekł asesor z pewnym niespokojem, siadając za stołem.

— Bądź tylko ty rzetelnym, odpowiedział Niaura, i nie przeputaj, co ci Bóg zesłał, a wszystko będzie dobrze, wystarczy nam i dziecku, tylko bez niego ani kroku.

— Jakto, ani kroku?

— No, tak, ani kroku, to mój skarb, a podczas téj nocy mógł zemrzeć — i Niaura duszkiem wychylił szklankę wina.

Asesor wiernie go naśladował. Butelka już była prawie pustą.

— Wydostań drugą butelkę, widziałem tam niezgorszy zapasik, mówił pan asesor, miłośnie spoglądając na skrzynię, ale jednocześnie spotkał się z wejrzeniem Niaury tak dumném, tak rozkazującém, że asesor jak posłuszny lennik, stulił uszy i cmoknął tylko językiem, aby ugasić pragnienie.

— Będziesz pił, ile ci się podoba, ale dopiero jak dział będzie zrobiony, jak zrobisz dla mnie to wszystko, coś przyobiecał inaczéj wara od wszelkich trunków.

— Na, da, prawda, ty umny człowiek, ale kiedyż to będzie?

— Pojedziemy razem do Wilna, kończył Niaura, po mojego Michałka, a przez ten czas szczególniéj tutaj w okolicy nie opuszczę cię ani na sekundę, żebyś się nie strąbił i przypadkiem nie wygadał.

Asesor się skrzywił, ale cóż było począć, kiedy słowa Niaury aż nadto dowodziły, że ma sens we łbie,

a ukryte skarby w łonie ziemi. Dopóki więc nie nastąpi podział i konkluzya, asesor postanowił być posłusznym jak dziecko i stósownie do życzenia Niaury wygotował raport uniewinniający a usprawiedliwiony powrotem Niaury do domu. Następnie ułożyli rano wyruszyć w drogę, aby zaś nie obudzić w niczém podejrzenia, ułożono wymienić w Wilnie talary na krajową monetę; czynności téj miał dopełnić asesor, i na początek ze 300 talarów z dzieży przeszło do kieszeni asesora. Odtąd asesor już o nic nie pytał, a z tego co mówił Niaura, mógł łatwo wnosić, że skarb mniéj więcéj mógł mieć wartości około dwukroć sto tysięcy talarów; wymówna ta sumka oślepiała go, zagłuszała, asesor gorzał niecierpliwością, całą noc przemarzył, nie śpiąc. Nazajutrz jeszcze Niaura chrapał w najlepsze, kiedy asesor już kazał zaprzągać, upakował swoje manatki i włócząc się z kąta w kąt, czekał, aż się jego włódzca rozbudzi. Przepyszna nietyczanka, wyborna czwórka koni, aż zachęcały do jazdy. Niaura obudził się przecie, wyszedł na dziedziniec i na początek wyprzągł konie, a nietyczankę zatoczył napowrót do szopy. Kiedy osłupiały tym postępkiem, asesor wyraził swoje zadziwienie, Niaura w kilku słowach dał mu poznać, że należy im unikać wszelkich podejrzeń, a zatém nie on asesora, ale asesor jego powinien wieść do Wilna jako nie całkiem jeszcze uwolnionego z pod śledztwa. Asesor znowu musiał przyznać słuszność Żmudzinowi i zażądał od gminnego zarządu podwody na swoje imię poczém po czułych pożegnaniach z Niaurową, ruszyli w drogę. Kiedy przejeżdżali przez las, gdzie miał być skarb ukryty, asesor byłby rad się zatrzymał, ale i tu znalazł silną opozycyą z bardzo prostéj przyczyny, że mieli świadka i stracą na czasie Tym razem jednak asesor postawił na swojém, energicznie wyskoczył z powózki i oświadczył, że nie pojedzie daléj, dopóki nie będzie miał dowodu, że skarb w tym lesie rzeczywiście się znajduje.

— A jakiegóż u djabła chcesz dowodu, wrzasnął Niaura, kiedy pod pozorem przechadzki ujrzeli się swobodni od świadka, czy chcesz teraz skarb wykopywać?

— Nie, ale wskaż mi miejsce gdzie jest ukryty.

Niaura chwilkę się namyślał, a potem wyrzekł lodowato, wskazując małą przegalinę, którą już minęli. Wróćże się w tamtę stronę, odlicz od gościńca sto kroków, w kłąbie drzew dostrzeżesz gęste zarośla a wśródku nich krzyżyk świeżo wkopany, a na nim wypalony numer 1831; wprost tego odlicz znowu dwadzieścia kroków, znajdziesz kamień, nie wielki, płaski, a pod nim skaplerz mój i jeden taki talar, obwinięty w kawał sukna, tam jest nasz skarb! — Nie baw długo, bo obudzisz podejrzenie. Z końcem tych słów Niaura najspokojniéj wrócił do bryczki i paląc fajkę, czekał na powrót swego socyusza. Asesor wrócił rozpromieniony szczęściem, ten nowy dowód nie przekonał go, ale upewnił, że Niaura chce się skarbem podzielić; odtąd przez całą drogę o niczém innem nie było wzmianki, tylko o wzajemnych układach, jak im daléj postępować należy, aby to nagłe bogactwo nie raziło zbytecznie. W Wilnie mieli zabawić tylko jednę dobę; przez ten czas asesor miał się zająć wymianą pieniędzy, a Niaura sprowadzeniem syna. Im bliżéj dojeżdżali miasta, tém wymowniejszym stawał się Niaura, już nie wzbraniał asesorowi „niemnoszka pogulat“, a nawet sam zachęcał do hulanki, w najlepszéj więc harmonii ujrzeli się w Wilnie, stanęli w jednym hotelu, w jednym numerze, jak nierozdzielni bracia, dwa potężne worki pieniędzy zaległy w komodzie do dyspozycyi asesora. Pomimo, że już zmrok zapadał, Niaura wybierał się do miasta, asesor także ze swéj strony nie chciał próżnować, a ponieważ on teraz miał głos stanowczy, nie wypuścił więc Niaury, dopóki go nie przebrał po miejsku. Niaura tak pociesznie wyglądał w pożyczanych sukniach, że asesor aż się pokładał od śmiechu.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

(Dolina śmierci.) Wiemy zkądinąd, że kwas węglany cięższy jest od powietrza, można by więc ztąd wnosić, że on powinien utrzymywać się przy powierzchni ziemi i okrywać ją mniéj lub więcéj grubą warstwą nie zdatną po oddychania; doświadczenie jednakże przy oddychaniu ciągle ponawiane, przekonywa nas, że to niema miejsca. Przyczyną tego, jest ciągły ruch powietrza, wiatry które mięszają z sobą gazy, przenikające się wzajemnie i tworzące jednorodną mięszaninę; przekonano się nawet, że ilosć kwasu węglanego w niższych warstwach atmosfery jest mniejszą, niż na wierzchołkach gór, co można wytłómaczyć tą okolicznością, że gazu tego potrzebują rośliny do swego życia i pochłaniają go prędzéj, niż on może się zniżyć lub wydzielić dla wynadgrodzenia téj straty. Znaczną także ilość kwasu węglanego rozpuszczają w sobie wody morskie i rzeczne, a w niektórych wodach źródlanych tak go jest wiele, że przy wydobyciu się z tych wód na powierzchnię ziemi wychodzi z nich gwałtownie i sprawia burzenie podobne do gotowania się wody. Lecz w niektórych miejscach na ziemi kwas węglany wychodzi z ziemi z większą prędkością, niż może się rozproszyć w atmosferze, wtedy zostaje przy powierzchni ziemi i może zadusić osoby, które by dostały się w jego otoczenie Tak np w pieczarze zwanéj „Psią grotą“ w Pozilippo około Neapolu, okrywa on powierzchnię ziemi na parę stóp wysoko i dla tego pies dostawszy się w to mjejsce, dusi się od braku zwyczajnego powietrza. Lecz bardziéj uwagi godne pod tym względem, jest jedno miejsce na wyspie Jawa, zwane Doliną śmierci, gdzie kwas wychodzi z ziemi przez niezliczone mnóstwo otworków bardzo małych. Dolina ta, ma około tysiąca kroków obwodu; kształt owalny, a głębokość jéj zdaje się wynosić 30 do 35 stóp; dno jest zupełnie płaskie; nie ma na niem żadnego śladu roślinności, widać tylko porozrzucane zaokrąglone kamienie, a więcéj jeszcze szczątków kości ludzkich, tygrysich, dzików, jeleni, pawi i innych zwierząt. Jest ono wszędzie twarde, piaskowate i nie można spostrzedz żadnego większego otworu, którymby gaz wychodził. Podróżni, którzy oglądali tę dolinę, naprzód poczuli mocną nieprzyjemną woń, któr znikła za przybliżeniem się do samego brzegu doliny. W odległości 18 stóp od dna nie czuli oni żadnéj przeszkody w oddechu. Pies przywiązany do bambusowéj żerdzi 18 stóp długiéj, spuszczony do do dna doliny po 14 sekundach padł bez ruchu, chociaż jeszcze oddychał przez 18 minut. Kura przy tychże okolicznościach zdechła w 1½ minuty, a druga przestała żyć wprzódy, nim się dostała do dna doliny.

W jedném miejscu téj doliny, około wielkiego kamienia, spostrzeżono szkielet człowieka bardzo dobrze zachowany. Był on w postawie leżącéj; prawa ręka znajdowała się pod głową; kości tak były białe, że nie ustępowały białości kości słoniowéj.

Dolina ta znajduje się u podnórza góry, od którego chcąc dojść do niéj, potrzeba się czepiać gałęzi drzew; jedno nieostrożne stąpnięcie, mogłoby być przyczyną śmierci. Jednakże zamiłowanie nauki, chęć poznania prawdy w człowieku myślącym, pokonywa tę obawę, naraża się on na niebezpieczeństwo, aby nam dał poznać to, co na ziemi godne jest uwagi. Wdzięcznosć i uwielbienie należy się od nas takim ludziom. O. D.

Szarada.

Pierwsze — imię samogłoski,
Drugie — liczby w trzecim rzędzie.
Trzeciém prości ludzie z wioski
Tytułują starszych wszędzie.
Pierwsze z drugiém macie blisko,
Ciągle co dzień otwieracie,
Drugie z trzeciém ryb siedlisko
I u członków wszystkich macie.
Całość? towarzystwa wszelkie,
Czy to małe, czy to wielkie,
Czy kółkowe, naukowe,
Czy rólnicze, pożyczkowe,
Gdy się rodzą, już przynoszą,
I całemu światu głoszą.

(Rozwiązanie szarady w nr. 41: ***Kara Mustafa.***)

PUSZKA DO LISTOW.

Pnnu S. Sz...ieł: Dziękujemy i prosimy o częstszą pamięć. — Panu Filip. z Czylczy: W pewnéj części nie złe. — Panu W. W. w Sr.: Zwłoka nastąpiła z powodu fałszywego adresu. — Czytelni Ludowéj w Cieszynie: Prześlemy żądany numer.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.